

F. T.

# Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

14

— Wypadki też się inaczej ułożyły — opowiadał adwokat. — Kiedy państwo się dowiedzie, co się stało, powiecie sami, że trzeba chyba wierzyć w cuda i znaki. Prokuratoryja państwa otrzymała tajemnicze zeznania, których treść da się ująć w jedno zdanie, powiadające: pani Wolfert nie jest morderczynią.

Dama do towarzystwa zagryzła silnie wargi, a policzki jej pobrały o kilka tonów. Zachowała jednak głębokie milczenie.

— Niemożliwe — zawołał baron. — Dowody są przecież tak przekonujące.

— Pani baronowa odmawia stałe przyznania się do winy.

— Mimo to, kto złożył to świadectwo? Co ono mówi?

— Od kogo pochodzi, nie mogę na razie powiedzieć. Jest to jednak osoba, która, jak się przekonuje, bardzo dobrze zna cały przebieg sprawy, bardzo dobrze! Zna najdokładniejsze szczegóły całej afery. Pani zaskoczyła baronową w chwili, kiedy trzymała w ręce flaszkę z trucizną? Czy tak proszę pani?

— Ja? Tak, tak jest — wyjąkała panna Albanus.

— Niechże więc pani posłucha, co ta osoba opowiada. Utrzymuje mianowicie, że widziała panią, łaskawa pani, jak pani o innym — zupełnie czasie dostała się potajemnie do pokoju, obok pokoju chorego i skrycie wyjęła ową flaszkę z kieszeni płaszcza, aby obejrzeć ją i zaspokoić swą ciekawość. Czy to nie zdumiewające?

— Absurd! — zawołała panna Albanus, stając się jednak znowu o kilka cieni bledszą.

— Przy tej sposobności — tak opowiada owa osoba — zapoznała się pani tak dokładnie z ową flaszką, że mogła pani potem przed sądem z całą stanowczością ją rozpoznać. Według tego opowiadania, znakiem, po którym pani rozpoznała flaszkę, była mała skaza, którą tylko przy bardzo dokładnym obejrzeniu stwierdzić można było, a która znajdowała się na dolnym brzegu flakonu. Czy to nie oryginalne opowiadanie? Jak chce, jak może owa osoba wiedzieć, po czym pani rozpoznała flaszkę?

Panna Albanus starała się zachować spokój i nie okazać, że ją to opowiadanie obchodzi, ale lekkie drżenie ręki mówiło lepiej niż słowa. Poruszała ustami, chcąc prawdopodobnie coś odpowiedzieć, ale ze ściśniętej krtani dobył się tylko cichy, harcący jęk, który można było wziąć za kaszel. Przed oczami zaczęły jej wirować dziwne kręgi, serce zaczęło rozpaczliwie kołatać się w piersiach. Skąd mógł ktoś wiedzieć to wszystko, co ten obcy pan właśnie opowiadał?

— Ależ to zdumiewające spostrzeżenia — odezwał się baron udając zdziwienie; — mogę jeszcze przypuścić, że prawdziwym jest to, co można było naocznie widzieć. Jeśli panna Albanus, czego nawet nie chcę podejrzewać, dała się powodować ciekawością i oglądała ową flaszkę, można ją było wtedy potajemnie podglądać. Ale to, co owa osoba mówi, o tym tajemniczym znaku na spodzie flaszki, hm... dziwne... przecież tego nie można widzieć, że panna Albanus o tem wiedziała... czy są tacy ludzie, którzy umieją czytać w myślach?

— Zdaje się wobec tego... — odpowiedział adwokat.

— Panno Tereso, przecież to chyba wszystko kłamstwo, co pani na to? — zwrócił się baron Wolfert do swej towarzyski.

— Całe to opowiadanie jest tak nie mądre, że szkoda słów tracić na odpowiadanie na nie — wyrzuciła panna Albanus z trudnością z zaciśniętych ust.

— Tajemnicza osoba opowiada jeszcze wiele innych ciekawych rzeczy — ciągnął dalej Ammarell spokojnym głosem. — Obserwowała i podsłuchiwała

morderczynię, kiedy mieszała truciznę z lekarstwem. Kobieta to bowiem była, nie mężczyzna. Trucizna nie pochodziła z flaszki baronowej, tylko z innego flakoniku. Zarówno sąd, jak i baronowa i siostra Marya pomylili się zupełnie w rachubie czasu, kiedy się to stało. Zbrodnia została przygotowana już wieczorem dnia poprzedniego, kiedy zakonnicą wyszła z pałacu udając się do klasztoru, a baronowa na kilka minut opuściła pokój, aby nalać świeżej wody do wazonu, w którym stały kwiaty.

Słowa te, wypowiedziane powoli, sprawiały straszne wrażenie. Gospodyni barona siedziała nieruchomo, pochylała się tylko naprzód, głowę opuszczała na piersi, obie ręce oparła na stole. Wzrost twarzy jej wyrażał ogromne napięcie, chwilami otwierała usta, silnie poruszała wargami, jak gdyby chciała coś powiedzieć, albo też przekonać coś niedobrego. Co się w jej duszy działo? Dr. Ammarell z pod oka obserwował ją i widział zmiany, jakie w niej zaszły. „Pisarz“, który siedział przy drzwiach, oparł się o oparcie krzesła, jak gdyby cała rozmowa nic go nie obchodziła. Oczy zasłonił ręką, ale przez palce



Prokurator i sędziowie cisnęli się, aby uścisnąć rękę Margi.

błyszczały dwie źrenice, które jak dwie lufy karabinowe wycelowane były w ofiarę. Każdy muskuł w tym człowieku był w pogotowiu. Przedstawiał obraz tygrysa gotującego się do skoku.

— Sądownie dowiedziono przecież, że lekarstwo zostało rano dziecku podane — podjął po chwili baron — Biedny Rudolf zażywał je przecież i...

— Właśnie tu tkwi omyłka. Jak przedstawia ów tajemniczy świadek, dziecko rano nie zażywało wogóle żadnego lekarstwa. Na tem jednak jeszcze nie koniec. Oto owa osoba poszła za morderczynią, kiedy ta wybrała się na miasto, aby zdobyć potrzebną jej morfinę.

— Nie możliwe!

— Nieprawda? Wygląda to wprost jak czar! Fakt ten został jednak stwierdzony. W przebraniu skromnej żony rękodzielnika przybyła sprawczyni mordu między innymi do doktora Wittekinda w Berlinie, mieszkającego przy ulicy . . . . . Nr. . . . . Lekarz przejrzał jednak jej nieczyste zamiary i nie wydał jej upragnionej recepty. Natomiast jednak, bez jej wiedzy, tak, że tego nawet nie zauważyła, zrobił małym aparatem fotograficznym zdjęcie z niej. Ma on bowiem zawsze taki aparat w pogotowiu.

Fotografię mam przy sobie, chcecie może państwo zobaczyć?

Mówiąc to sięgnął dr. Ammarell do kieszeni i wydobyl fotografię panny Albanus, którą przez stół podał swoim słuchaczom. Może być, że w duszy tej nieszczęsnej ofiary kryła się jakaś ostatnia wątpliwość, która zarazem łączyła się z ostatnim promykiem nadziei. Jak jastrząb na swą zdobycz, tak rzuciła się ona, błada jak trup, na podawaną jej fotografię. Raz tylko szybko na nią spojrziała i w następnej sekundzie zerwała się, widocznie od dawna na to przygotowana, błyskawicznym ruchem ze swego miejsca. Jednym skokiem dosięgła okna, które się za nią znajdowało, drżącymi rękami wyszarpnęła okiennice z rygli i chwyciła za poprzeczkę, aby wskoczyć na parapet okna. W tej samej prawie chwili, chwyciła ją z tyłu silna ręka i rzuciła na podłogę. Był to komisarz, który równocześnie prawie z nią się zerwał i w tej samej chwili, co i ona, dopadł do okna.

— Ona chce wyskoczyć przez okno — krzyknął grzmiącym głosem, trzymając ją równocześnie z całych sił. Adwokat i baron rzucili mu się na pomoc, usiłując wspólnymi siłami przytrzymać pannę Albanus. Zbrodniarka broniła się jednak i wydierała ze złością młodej kotki.

— Czego chcecie odemnie — syczała przez zęby, wyrывая się swym przesładowcom. — Wszystko to jest kłamstwo, wszystko oszczerstwo i obelgi.

Jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej zmieniła się sceneria w pokoju. Jeszcze przed chwilą siedziała wokoło stołu grupka spokojnie rozmawiających ludzi, którzy w zgodzie i harmonii ze sobą rozprawiali. Naraz wszystko zamieniło się w dziki hałas i zamieszanie.

Komisarz obu rękami trzymał wyrwającą się morderczynię.

— Otwórz pan okno od ulicy, panie doktorze — zawołał do prawnika — stoją tam moi ludzie. Wezwij ich pan, przybędą nam na pomoc.

Adwokat Ammarell spełnił polecenie, a w kilka chwil potem wpadli do pokoju dwaj tędzy ajenci policyjni. Morderczyni zrozumiała teraz, że sprawa jej przepadła.

— Puście mnie, połamiecie mi kości — zawołała do komisarza; poddam się.

Komisarz puścił ją. Na pozór spokojnie postąpiła ku środkowi pokoju i jakby wyczerpana, opadła na swój stół.

— Pozwólcie mi, niech trochę przyjdę do siebie — oświadczyła z prośbą w głosie. Komisarz dał swym ludziom znak i stanął za nią. Jeden z agentów stanął przed nią, drugi zaś umieścił się przy drzwiach.

Panna Albanus zrozumiała, że jest aresztowana. Zaczęła gorzko płakać, po chwili wyciągnęła z kieszeni chusteczkę do nosa i podniosła ją do oczu.

W tym momencie komisarz pochylił się ku niej błyskawicznym ruchem, niespodziewanie wyrwał jej z ręki chusteczkę — na ziemię upadł jakiś twardy przedmiot.

Z głuchym okrzykiem rozpacz zerwała się Teresa Albanus, chcąc pochwycić to, co upadło, ale komisarz ją uprzedził. Z tryumfem podniósł do góry rękę, w której trzymał małą flaszkę.

— Tu mamy nareszcie ową truciznę — zawołał. — Flaszka jest jeszcze do połowy pełna. Patrz pan, panie doktorze, wypłynęło tylko kilka kropel.

— Czy żąda pan jeszcze innych dowodów? — zwrócił się adwokat do barona.

— Nie, dziękuję, ona sama się zdradziła — odpowiedział ten wzruszony.

— I to pan dopomógł, aby mnie wydać — krzyknęła uwięziona, która teraz, widząc udaremiony ostatni sposób ocalenia swego honoru i uniknięcia więzienia, opadła zupełnie złamana na stół.

— O jakżeż to brzydko z pana strony — przecie ja to wszystko robiłam z miłości dla pana.

Łkała gwałtownie przez chwilę, poczem bez oporu podała ręce komisarzowi, aby jej nałożył kajdany.

Jakżeż nagły przeskok w zupełnej pewności i bezpieczeństwa w przepaść rozpacz i zwątpienia! Wszystko się tak doskonale układało. Życzenia jej